


Międzygórze, kościół św. Józefa (fot. autora)

Przebywając w Międzygórzu, przyglądając się budynkom i zбочom porośniętym dorodnym lasem, siedząc we wnętrzu urokliwego, drewnianego kościołka, robiąc zakupy w sklepie spożywczym, spoglądając w bystro płynące wody Wilczki i Bogoryi, podziwiając okazały, strzelisty świerk rosnący nieopodal skweru upamiętniającego Mariannę Orańską, podejmowałem próby (to mogły być tylko próby) spoglądania jego oczami na otoczenie, na rzeczywistość międzygóorską. Bo to było do niedawna jego otoczenie, jego rzeczywistość. To, że na wszystkie te punkty nie tylko patrzył, ale również je widział (patrzenia nie jest tożsame z widzeniem), jest rzeczą pewną. Esejści, poeci są ludźmi spostrzegawczymi. On zaś był zarówno jednym jak i drugim. Do tego był jeszcze malarzem. Niewiedzenie, w jego przypadku, nie mogło mieć miejsca. Na dodatek pośród tych punktów żył 60 lat, a Międzygórze jest niewielką miejscowością. A to, że od kilkunastu lat część czasu spędzał w Zielonej Górze, jako wykładowca na tamtejszym uniwersytecie, niczego w tym względzie nie zmieniło. To dlatego młody mężczyzna zamykający akurat kiosk z prasą, odpowiedział z wyrzutem przemieszanym ze zdziwieniem:

– Oczywiście, że tak.

A zapytałem czy znał tego, któremu niniejsze *Epitafium* jest poświęcone.

Poniższy fragment utworu Johna Donna był (i będzie) wielokrotnie cytowany:

Śmierć każdego człowieka umniejsza mnie,
albowiem jestem zespólny z całą ludzkością.

Są jednak śmierci, które indywidualnie odczuwamy jako, co najmniej, podwójne umniejszenie. I tak właśnie traktuję odejście Michała Fostowicza-Zahorskiego (nadszedł czas na ujawnienie imienia i nazwiska). Przy czym mogę mówić o szczęściu – mogłem przecież Michała nigdy nie spotkać. Mogłem nie zdążyć go (choć trochę) poznać. Ale zdążyłem: spotkałem i poznałem!

Na koniec posłużę się cytatem z *Pamięci Stephena Spendera* Josifa Brodskiego:

„Ludzie są tacy, jak nasza o nich pamięć”.

A tak się składa, że w mojej pamięci Michał tkwi jako jasny punkt!

P. S.

Minęły prawie dwa lata od napisania tego, co widnieje powyżej, gdy kupiłem pokazanych rozmiarów książkę (566 stron) zatytułowaną... *Boska analogia*. Teraz czytam ją codziennie. A to znaczy, że „kontaktuję się” wówczas nie tylko z Williamem Blake’iem, ale również z Michałem Fostowiczem.

Dariusz Pawlicki

Jak w PRL-u pod Łomżą wioskę artystyczną budowano

Na przełomie lat 70. i 80. ubiegłego wieku komunistyczne władze ówczesnego województwa łomżyńskiego zaczęły wprowadzać w życie utopijny pomysł stworzenia w Drozdowie artystycznej wioski, zamieszkałej przez pisarzy i artystów. Miała być ona dowodem na prężny rozwój kultury w nowym województwie i zarazem osłabić pamięć o Lutosławskich.

– To była idea straszna i jak to poszło w kraj, trzeba się było z tego tłumaczyć – mówi pisarz i poeta Henryk Gała. – Jak pojawiałem się w Warszawie na jakimkolwiek zebraniu to mnie zahaczali: od nieznanym aż po pana Józefa Hena, który mówił: jakim prawem wy tam dostajecie wszystko?! Tłumaczyłem mu, że co prawda to jest hen, daleko od Warszawy, ale tam też niczego się za darmo nie dostaje. Myślę, że mogło też trochę chodzić o przykrycie tradycji i historii Lutosławskich, tak związanych z Drozdowem. Przecież przysyłanie różnych spraw związanych z Lutosławskimi czy Romanem Dmowskim, na którego był zapis cenzorski, było wtedy na porządku dziennym.

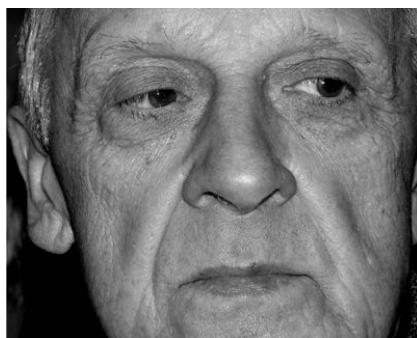


Foto: Andrzej Dębowski

Henryk Gała

W maju 1976 roku wojewoda Jerzy Ziętara w czasie imprezy literackiej na Dniach Kultury Staropolskiej wystosował apel do artystów i literatów, zapraszając ich do osiedlania się w Łomży i jej okolicach. Pomysł ten ewoluował, by w końcu przybrać formę artystycznej wioski,

na siedzibę której wybrano Drozdowo.

– Nie dam głowy czy tej wioski artystów w Drozdowie nie wymyślił któryś z łomżyńskich administracyjnych czempionów, żeby poszło w kraj, że robią w województwie coś tak fantastycznego – wspomina Henryk Gała. – To była idea, która narodziła się gdzieś pomiędzy Urzędem Wojewódzkim a kimś z literatów, bo przecież wojewoda łomżyński zapraszając tu artystów nie sformułował tego tak, że zaprasza ich konkretnie do Drozdowa. Nie przyjąłem tego nigdy do wiadomości i zawsze zwalczałem. Już fakt, że zdeklarowało tutaj obecność czterech pisarzy, to już to dla mnie było prawie nie do przyjęcia. Czterech pisarzy we wsi?! To mi przypominało odwiedziny u pewnych wrocławskich literatów, którzy przenieśli się do innego miasta i dostali mieszkania w jednym bloku. I w kapiach odwiedzali się i pili wódkę. Na szczęście nie wszyscy pracowali w jednej redakcji. I coś podobnego groziło mi też tutaj.

Jednak z różnych powodów Henryk Gała pozostał do dziś jedynym artystą mieszkającym w Drozdowie – drugim był w latach 1982-91 malarz i muzyk Andrzej Cwalina.

– Główny inicjator tego pomysłu Dionizy Sidorski nigdy się tu z Białegostoku nie przeprowadził, bo coś mu nie odpowiadało – mówi Henryk Gała. – Podobnie jak Andrzej Jastrzębiec-Kozłowski i Piotr Kuncewicz. Pierwszy przyjeżdżał tu czasem ze swoją nową, młodziutką żoną i tylko jedną noc spędził w swoim domu. Chyba tylko po to, żeby poczuć się jego właścicielem, bo zwykle nocował u nas, albo później w pokojach gościnnych w muzeum, kiedy już sprzedał ten dom. Piotr Kuncewicz do końca życia tutaj nie przyjechał, czasem spotykaliśmy się w Warszawie, gdzie był prezesem Związku Literatów Polskich, a później też Wielkim Mistrzem loży masonskiej Wielki Wschód Polski, jednak temat naszego drozdowskiego sąsiedztwa nigdy nie poruszałem. Ale jak mi mówiła jego żona, całe życie marzył, żeby tu zamieszkać, choćby na jakiś czas i napisać pewną książkę czy esej. Ale nigdy mu się to nie udało. Wszystko to było takim papierowym ogniem, słomianym zapałem tych ludzi. Bo władze poszły na wszystkie ustępstwa i nie chciały stawiać warunków, np., że nie może być więcej jak dwóch pisarzy i jeden plastyk na wieś, bo chciały tu przyciągnąć jak największą liczbę takich ludzi, nie tylko lekarzy czy nauczycieli. Wobec niechęci pisarzy do osiedlania się w Drozdowie na stałe władzom nie udało się też zrealizować planu usunięcia ze świadomości ludzi nie tylko Lutosławskich, ale również mieszkającego pod koniec życia w Drozdowie Romana Dmowskiego.

– Sam, o tym, że Dmowski spędził w Drozdowie koniec życia, dowiedziałem się zupełnie przypadkowo od reporterki Krystyny Jagiełło, która przyjechała tu opisywać łomżyński casus kulturalny – podkreśla Henryk Gała. – Wiedziałem o Dmowskim tylko tyle, co wspominał o nim mój ojciec, że był endekiem.

(Dokończenie na stronie 24)